

Najtrudniej jest spotkać Lilit. Opowieści chasydek.

Anka Grupińska

Narracje

Anka GRUPIŃSKA

Najtrudniej jest spotkać Lilit. Opowieści chasydek¹

Granice ortodoksji

Ultraortodoksja

Wartości świata religijnego podlegają stałej radykalizacji, która jak twierdzą *charedim*, jest jedyną formą obrony przed zakusami świata świeckiego. Córki z odrobiną protekcyjnej tolerancji patrzą na matki, których peruki mają za długie włosy albo pończochy nie są wystarczająco ciemne. Zamykanie kolejnych pól, zawężanie skali zachowań, wytrwałe dążenie do minimalizowania indywidualnego uczestnictwa w świecie zewnętrznym – oto działania gwarantujące względne bezpieczeństwo. Niedawna ortodoksja, dziś nazywana ultraortodoksją, pozostawiła starą nazwę dla tych, którzy – zainfekowani wpływami świata laickiego – odstąpili od pewnych zasad a może raczej nie zradykalizowali ich w ostatnim czasie. *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich* Alana Untermana z roku 1991 nie wymienia terminu „ultraortodoksja”. W haśle „judaizm ortodoksyjny” wyróżnia ortodoksję nowoczesną, czyli neoortodoksję, i ortodoksję tradycyjną. Dziś jednak te dwa pojęcia nie wystarczają już opisywaczom żydowskiego świata religijnego. Neoortodoksja stała się pewnym kanonem i zwana jest ortodoksją, a ortodoksja tradycyjna sięgnęła kolejnego progu i zyskała miano ultraortodoksji.

Niektórzy *charedim* uważają, że nazywanie ich ultraortodoksami jest poniżające, ponieważ zawiera intencję zmarginalizowania i zdyskredytowania społeczności religijnej. Człon „ultra” oznacza „krańcowy”, „nieumiarkowany”, a na te przy-

¹ Fragmenty trzeciego, rozszerzonego wydania książki pod tym tytułem, która ma się ukazać w Wydawnictwie Austeria w październiku 2008.

Narracje

miotniki nie chcą się zgodzić, uważając, że są one stosowne dla takich grup, jak na przykład terroryści czy neonaziści. „Społeczność *charedim* stanowi żydowską normalność w tych niemoralnych i asymilanckich czasach, bo to właśnie ortodoksi są wierni prawu żydowskiemu i żydowskim wartościom, są kwintesencją żydostwa – twierdzą. – Z socjologicznego punktu widzenia nie stanowimy głównego nurtu społeczeństwa izraelskiego, ale z pewnością jesteśmy nim w historycznym sensie. Granic ortodoksji nie wytycza ani nasz strój, ani zachowanie; one są tylko wyznacznikiem pewnej tradycji i zwyczajów przestrzeganych przez człowieka i grupę, do której on należy. Tym, co naprawdę czyni nas *charedim*, jest przestrzeganie Tory i wypełnianie nakazów (*mitzvot*) z najdrobniejszymi szczegółami; to nasza bojaźń wobec Imienia”. Religijni często mówią: „Nasze dzieci są bardziej pobożnym niż my”. – Co to znaczy być bardziej pobożnym? – pytałam.

– Przestrzegać więcej i jeszcze więcej zasad. Tych podanych w księgach i tych ustalonych przez naszą tradycję, naszych cadyków. Być uważnym na najmniejsze drobnostki. My nie mamy potrzeby zastanawiać się nad religijnością. Religijność, pobożność to nasz sposób życia, to nasza odwieczna tradycja, jedyna, która wyznacza drogę do Imienia.

Społeczność ultraortodoksyjna, choć już starannie wyróżniona z żydowskiego świata religijnego, nie jest oczywiście homogeniczna i znowu daje się podzielić na tych, którzy pośród ultraortodoksów są najbardziej liberalni, na tych, którzy stanowią pewną oś centralną, i tych, którzy przez pierwszych i drugich nazywani są skrajnymi fanatykami. Owi „ultraultraortodoksi” najczęściej należą do organizacji o nazwie Eida Charedit, która wyrokuje o wielu sprawach dotyczących życia wszystkich *charedim*, a nie tylko tych, którzy identyfikują się z jej ideologią. Popierają ją bezpośrednio członkowie sekt, które zdecydowanie nie uznają państwa: Satmer, Toldot Aharon, małe węgierskie chasydztwa: Duszynski i Erloj oraz *jeruszałmim*. Eida Charedit ma także swoich zwolenników wśród niewielkiej liczby rodzin chasydzkich należących do tych sekt, które uznają państwo. W sumie liczy nie więcej niż siedem tysięcy rodzin zamieszkałych głównie w Jeruzolimie. Kiedy po utworzeniu państwa Izrael w 1948 roku Agudat Israel wkroczyła na scenę polityczną, Eida Charedit wycofała swoje dla niej poparcie. Uznała, że „naprawianie zła od środka”, jak Aguda określa swoje polityczne zaangażowanie, jest zbyt ryzykowne. Jedyna skuteczna forma obrony to całkowita separacja od struktur państwowych. Eida jest przeciw wszystkim: przeciw Agudat Israel, litwakom, sefardyjczykom, a przede wszystkim – przeciw pladze naszych czasów, największemu złu zagrażającemu Żydom: syjonizmowi świeckiemu.

[...]

Rodziny chasydzkie różnie oznaczają granice własnej ortodoksji. Z reguły żyją według zasad sformułowanych przez swojego rebeego i przez społeczność, do której należą. Rut, żona chasyda karlińskiego, powiada, że nie identyfikuje się ani

Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

z jakimkolwiek rebe, ani tym bardziej z żadną grupą. Zdecydowanie podkreśla swój brak przynależności do grupy Karlin, szczeni się wręcz swym nieprzynależeniem w ogóle.

– Nie lubię tego, nie rozumiem, to do mnie nijak nie przemawia. Nigdzie nie należę i nigdzie nie chcę należeć! – Rut jest więc poniekąd skazana na samodzielne budowanie swojego terytorium, indywidualne wytyczanie granic dla całej rodziny. W tak zwanych typowych chasydzkich domach decyzje w sprawach istotnych i nieistotnych podejmuje mężczyzna, który często zwraca się z prośbą o opinię do swego rebeego. Dom Rut i pod tym względem jest inny. Icchak, pochłonięty całkowicie pracą i studiowaniem Tory, nie przywiązuje wielkiej wagi do domowych drobiazgów. Jego oczekiwania są w pełni zaspokajane: dom jest prowadzony wedle zasad sformułowanych w *Szulchan Aruch*, on i żona przestrzegają wszystkich zasad, dzieci wychowywane są w zgodzie z nakazami religijnymi, w poszanowaniu dla tradycji i w skromności. Rut opowiada o tym, jak buduje swoje granice, co jest jej rodzinie dozwolone, a co nie; jakie pole wyznacza jej ortodoksja. Czyta „Maariw”, bo mówi, że „musi wiedzieć”. Ale gazetę trzyma z daleka od dzieci, „drukują tam przecież nieprzyzwoite zdjęcia”. Pozwala im natomiast czytać Juliusza Verne’a. Czasem słyszy od znajomych: „Po co wkładać im do głowy te wszystkie głupstwa, chłopcy powinni studiować Torę, a dziewczynkom w ogóle to niepotrzebne”.

Dawniej, kiedy była uczennicą Beit Jaakow, wymykała się czasem do kina na przedpołudniowy seans. Choć bardzo jej tego brakuje, od wielu już lat nie była w kinie, bo mąż uważa, że nie jest to odpowiednie miejsce dla skromnej żydowskiej kobiety. Telewizor w domu byłby zbyt dużą i niebezpieczną pokusą dla dzieci, a także dla niej samej. Inaczej niż wiele skromnych chasydek Rut bardzo lubi jeździć własnym samochodem, starym subaru, który dostała od Icchaka kilka lat temu. W jej domu jada się jedynie produkty ze stemplem Badac Eida Charedit. Towary ze znakiem Komisji Rabinów przy Agudat Israel, uznawane przez większość *charedim*, nie są, według niej, dość koszerne. Nie spożywa się również produktów z licencją Badac Belz, ale w tym wypadku przyczyną jest spór ideologiczny między sektami. Sposób przykrywania włosów to kolejny wyznacznik skromności religijnej kobiety.

– Nigdy nie założyłabym peruki z ogonkiem! Zbyt to przypomina naturalne włosy. Nie noszę też długich peruk. Ale trochę maluję oczy kolorową kredką, no i moje siostry znowu kręcą głowami. – Rut odważnie i trochę kokieteryjnie przyznaje się do swoich pokus, jest świadoma ich wartości.

– Książki i filmy! Bardzo mi ich brakuje – podkreśla. – Czasem czytam, najchętniej poleconą mi przez Chawę literaturę hebrajską, ale mam wtedy ogromne wyrzuty sumienia, bo zdaję sobie sprawę, że robię to kosztem dzieci, że zaniedbuje swoje obowiązki.

Klasyfikowanie stopnia religijności to kwestia zawsze problematyczna: czy dom jest ortodoksyjny (*dati*), czy ultraortodoksyjny (*charedi*). Granice układane są przez religijnych, a także przez przyglądających się im świeckich. Wyznaczone przez

Narracje

nich linie często nie pokrywają się w ogóle. Rut mieszka w Giwat Mosze w Jerozolimie, dzielnicy *charedim*.

– Dla nas takim wskaźnikiem stopnia ortodoksji jest telewizor. W Giwat Mosze nikt nie ma telewizora, tu mieszkają tylko *charedim* – mówi. – Oczywiście, są jeszcze inne różnice. *Charedim* posyłają dzieci do innych szkół niż ortodoksi, nasi chłopcy nie idą do wojska. Mężowie najczęściej siedzą w koflelu. Nasze kobiety starannie przykrywają głowę.

Przynależność do zamkniętej grupy jest z reguły łatwiejsza niż samodzielne prowadzenie życia. Przynależność do społeczności chasydzkiej jest niezwykle łatwa. Jeśli jesteś jedną czy jednym z nich, twoja droga jest już wytyczona. Nie zastanawiasz się, do jakiej szkoły posłać dziewczynki, do której jesiwy pójną chłopcy, wiesz dokładnie, jak ich ubrać i w ogóle nie masz kłopotu z odpowiedzią na jakiekolwiek pytanie – jeśli nie ktoś z twojej sekty, to na pewno rebe da ci odpowiedź. Rebe powie, gdzie masz mieszkać, gdzie pracować, jak się leczyć, rebe nada imię twojemu dziecku, rebe o wszystkim zdecyduje.

Problem indywidualnie poszukiwanych granic – mieszczących się naturalnie w polu oznaczonym przez innych – inaczej rozwiązuje pewna rodzina mitnagedów, przynależąca, według ich własnej definicji, do świata ortodoksji religijnej.

Jestem w biurowcu jednej z dużych izraelskich firm państwowych. Niekończące się, wąskie i szare korytarze z ciasnymi pokojami po obu stronach. Na dużym, topornym biurku, obok telefonów i stosów papierów, tuż pod ręką, amerykańskie romansidło atakuje złotymi literami tytułu. Buciki na niskim obcasie, szeroka, ale dopasowana w talii džinsowa spódnica, bluzka z niewielkim dekoltem i rękawem do łokcia. Modny w tym sezonie kapelusz, połączenie rafii z materiałem upstrzonym drobnymi plastikowymi kwiatkami, wydaje się raczej ozdobą niż oznaką skromności religijnej. Bracha ma czterdzieści cztery lata, jest absolwentką judaizmu i nauk społecznych Bar Ilan, jedynej w Kraju uniwersytetu dla religijnych studentów. Wyszła za mąż za ortodoksyjnego *jeka* z Chafec Chaim, jednego z trzech religijnych kibuców w Izraelu. Kiedyś rodzina męża nazywała się Szwarc. Jej rodzina nosi zhebraizowane nazwisko przodków – Szachor.

Bracha ma pewien problem z samookreśleniem religijnym, choć zdecydowanie identyfikuje się z ortodoksją.

– Chociaż nie noszę długich rękawów i pończoch, no i czasem maluję paznokcie jasnym lakierem, zapewniam moim dziewczynkom pełną edukację religijną. Oczywiście przestrzegam koszerne, szabatu i mykwy. (Mój mąż wcale nie chodzi do mykwy, bo uważa, że to są chasydzkie bajki). A te kobiety ultraortodoksyjne z Mea Szearim?! One wcale nie są bardziej ortodoksyjne niż ja. Różnica polega na tym, że one budują wokół siebie coraz wyższy mur. Nie ma przecież w judaizmie takiego przykazania, by kobiety jeździły innymi autobusami niż mężczyźni.

Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

Chasydzi wszystko wymyślają, żeby unikać najmniejszej pokusy, boją się swojej słabości. Ale zasady i nakazy nasze i ich są takie same. Wszyscy mamy tę samą *haloche*, halachę. I tam jest powiedziane, dla przykładu – potrawy mięsne i nie-mięsne należy przyrządzać osobno. Są kobiety, które mają dwa komplety naczyń i sztućców, są takie, które mają dwa zlewy, i takie, które mają dwie kuchnie. Od nas samych zależy, jak ortodoksyjnie potraktujemy daną zasadę. I płoty, i furtki sami sobie wymyślamy. Moja mama nie nosi peruki ani nawet kapelusza, ale to takie polskie: mężczyźni do jesziwy, a kobiety do kina. I ja też chodzę do kina. Halacha nie zabrania kina. Oczywiście nie na wszystkie filmy pójde, mam swoje granice, których nie przekraczam. Ale tak naprawdę każdy robi pewne odstępstwa od nakazów Prawa. Czy to jest grzech? Ja nie wiem, każdy trochę grzeszy. A ja swoich grzechów tak bardzo nie liczę, ja nie jestem katoliczką i nie potrzebuję ani spowiadać się, ani dostawać od nikogo rozgrzeszenia. Za każdy grzech sama jestem odpowiedzialna. Ja nigdy o nic rabina nie pytałam. To tylko chasydzi biegają za swoim rebe jak nastolatki za ulubionym piosenkarzem. Podstawy prowadzenia domu przejęłam od matki, a jeśli czegoś nie jestem pewna, wiem, gdzie szukać. *Szulchan Aruch* zawiera każdą odpowiedź.

Wydaje się, że dawniej łatwiej było odnaleźć różnice między dwoma grupami: chasydami i mitnagedami. Najbardziej klarowny jest jednak sam początek. Beszt opowiadał swoim uczniom taką oto historię. W tym samym domu żył gorliwy talmudysta i prosty Żyd. Obaj wstawali wcześniej rano. Talmudysta spieszył do domu modlitwy, a biedny Żyd do swojego warsztatu. Pierwszy spędzał cały dzień na studiowaniu, a drugi na ciężkiej pracy. Spotykali się obaj w drodze do domu. Talmudysta z wyższością i politowaniem spoglądał na sąsiada, biedak patrzył na uczonogo z zazdrością i myślał: „Jak szczęśliwy musi być ten, kto całe dnie spędza na studiowaniu świętych tekstów, a nie na ciężkiej pracy”. Minęły lata. Zmarł talmudysta i wkrótce po nim odszedł z tego świata prosty Żyd. Obaj zostali wezwani przez Wielkiego Sędziego i zapytani, czego dokonali w swoim życiu. „Ja całe dnie poświęcałem na studiowanie Talmudu i modlitwę, przestrzegałem wszystkich praw w każdym ich szczególe”. „A ja ciężko pracowałem i nigdy nie miałem dość czasu na modlitwy”, powiada drugi. Wtrącił się Wielki Doradca: „Talmudysta pogardził swoim sąsiadem, a prosty Żyd żałował, że żyć inaczej nie może”. Położono czyny i myśli obu na wadze. „Nie ma miejsca dla talmudysty w raju. Jego pogarda przeważała naukę i modlitwy. Przyprawadźcie do nas prostego Żyda!”, zawyrokował Wielki Sędzia.

Historyczny spór między chasydami a mitnagedami dziś dotyczy najczęściej kwestii przywództwa w grupie religijnej. Przywódca chasydzki, cadyk czy rebe dynastii, był zazwyczaj bardzo przeciętnym znawcą Tory (ze swej nieznamości ksiąg świętych sływał rebe Izrael z Różyna). Posiadał natomiast inne, wyjątkowe cechy, które czyniły go autorytetem grupy. Miał duszę mistyka, często nadprzyrodzone umiejętności odgadywania woli bożej, uzdrawiania swoich chasydów, roz-

Narracje

wiązywania wszelkich ich problemów. Uważający się za znawców Prawa mitnagedzi pogardzają tymi, których jedyną wiara w nadprzyrodzone moce niedouczonego lidera. Chasydzi, kontratakując, wypominają swoim tradycyjnym oponentom, że ci coraz częściej stroją swoich rabinów w niezwykle przymioty ducha, i dumnie dodają, że chasydzcy rebes są najprzedniejszymi znawcami Gemary.

Pytani o różnice między chasydami a mitnagedami, chasydzi odpowiadają żartobliwie: „Oni boją się *Szulchan Aruch*, a my – Boga. A poza tym – mówią – mamy tę samą Torę, ten sam *Szulchan Aruch*, tę samą halachę i wiele podobnych czy wręcz takich samych zwyczajów. Przez wieki jedna grupa przejmowała zwyczaje drugiej. Od początku konfliktu, czyli od drugiej połowy XVIII wieku, żyją obok siebie”. Czasem chasydzi skarżą się, że mitnagedzi ukradli im wiarę w cadyka, a ci zarzucają chasydom, że przywłaszczyli sobie „ich” Torę. Ci bardziej ugodowi się nie zgadzają: mitnagedzi zawsze wierzyli w swojego rabina, a chasydzi nigdy nie zarzucili studiowania. Przywołują przykład Gaona z Wilna, który był wielkim tal-mudystą i mistykiem, „prawie takim, jak Baal Szem Tow”.

– Mitnagedzi też tańczyli, tylko nie tak, jak chasydzi – mówi reb Awisz, chasyd dynastii Karlin. – Też zajmowali się mistyką, ale nie tak, jak chasydzi. Żyli duchem, ale nie aż tak, jak my. Historia czasem kłamie. Historia mówi, że chasydzi nie studiowali Tory. To nieprawda! Zawsze żyliśmy z Torą, było wielu chasydzkich mędrców Tory. Prawdą jest, że jesziwy to sprawa mitnagedów, to przede wszystkim oni je budowali, ale chasydzi często w nich studiowali!

Rzeczywiście, coraz trudniej wyróżnić obie grupy. Przypominam sobie spotkanie z synem rebego Hirsza, zagorzałym litwakiem, który wyglądał jak stuprocentowy chasyd. Pejsy miał zawinięte wokół ucha, a zamiast w mitnagedzki płaszcz do kolan odziany był w długą, czarną kapotę. Jego aksamitny kapelusz z szerokim rondem bardziej przypominał kapelusz chasyda Belz niż klasyczny litwacki, który wyglądałby nowoczesniej: małe, ufasonowane rondo i wysokie denko z załamaniem. Tradycyjnie chasydzkie płaszcze szyte są z czarnej gabardyny, satyny lub jedwabiu. Okrycia mitnagedów krojone są z tego samego materiału, z którego szyte są ich spodnie; tkanina, najczęściej czarna lub ciemnogrnatowa, zdobiona jest często delikatnymi, nitkowymi paskami. *Gartl*, czyli pas, który wyznacza granicę między częścią duchową i fizyczną ciała, pozostaje często jedynym znakiem zewnętrznym wyróżniającym chasydów.

– Byłaś kiedy na ślubie u mitnagedów? Ich wesela są dziś tak samo huczne jak nasze – opowiada reb Awisz. Młode kobiety i młodzi mężczyźni, naturalnie w osobnych kręgach, wirują w takt muzyki... chasydzkiej! Czasem nawet się zdarza, że bardziej ortodoksyjni mitnagedzi naśladują obyczaj chasydów i każą kobietom tańczyć w osobnej sali. Granice się zacierają. Czy wiesz, że niektórzy rabini mitnagedów przyjmują *kwitelech* od swoich uczniów!? Więc jaka jest między nami różnica? Chyba już tylko mykwa i tisz nas różnią, ale za jakiś czas i to zniknie –

Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

przepowiada. – Opowiem ci chasydzką anegdotę na ten temat. Otóż pewien zamężny Żyd szukał odpowiedniego męża dla swojej córki. Trafił się doskonały kandydat, który postawił tylko jeden warunek: „Ja jadam mięso trzy razy dziennie”. Warunek był łatwy do spełnienia dla puryca. Wkrótce odbyło się wesele. Po roku ten sam Żyd wydawał drugą córkę za mąż. Kandydat na zięcia prosił o zagwarantowanie trzech mlecznych posiłków. I z tym nie było kłopotu. Dwaj zięciowie jadaliby przy dwóch osobnych stołach. Lata mijały, a bogaty Żyd ubożał. Z czasem obaj zięciowie, ciągle siedząc przy dwóch stołach, jedli to samo *parve*.

Stary i nowy naród, czyli o tym, jak różnie można być Żydem

[...]

Status quo nowo powstającego społeczeństwa izraelskiego zostało wypracowane przez Dawida Ben Guriona jeszcze w 1947 roku. Jako przewodniczący Agencji Żydowskiej, przesłał on wówczas na ręce rabina Lewina, przywódcy religijnej partii Agudat Israel, list potwierdzający, że powstające państwo żydowskie uszanuje oczekiwania religijnej części społeczeństwa. W liście owym sformułowano *modus vivendi* poparte późniejszymi aktami prawnymi obowiązującymi do dnia dzisiejszego. Ortodoksyjnym sądom religijnym przyznano kontrolę nad zawieraniem małżeństw, rozwodami, stworzono odrębny system edukacyjny i rady religijne, później dopisano do listy zwolnienie studentów jesziwy z obowiązku służby wojskowej. Wszystkie te ustępstwa miały gwarantować, że partia Agudat Israel nie sprzeciwi się ustanowieniu państwa żydowskiego na forum ONZ. Jednak izraelskie *status quo*, przecząc swej semantycznej istocie, podlega ciągłej zmianie. *Charedim* zgłaszają coraz to nowe żądania i wiele spośród nich jest spełnianych przez kolejne ekipy rządzące z nadzieją na uzyskanie poparcia partii religijnych dla planowanych decyzji politycznych. Jednym z przykładów jest wymuszona przez *charedim* decyzja gospodarcza o sprzedawaniu w każdym siódmym roku izraelskich zbiorów rolnych wyłącznie za granicą. W konsekwencji cała żywność konsumowana w danym roku w kraju musi być importowana. Podstawą tego żądania jest biblijne prawo *sznat szmita*. Zwolnienie wszystkich dziewcząt religijnych z wojska, ograniczenie liczby wykonywanych sekcji zwłok – to kolejne osiągnięcia partii religijnych w zmienianiu mechanizmów porządkujących życie wszystkich Izraelczyków. Co jakiś czas lewica ostrzega społeczeństwo izraelskie: dziś religijni chcą być w waszych kuchniach (aluzja do zakazu hodowania świń w Izraelu), ale wkrótce będą chcieli być wszędzie – na waszych ulicach, plażach, w waszych szkołach, a także w waszych łóżkach. Obraz religijnego państwa prześladowuje tu wielu. Podzielają oni obawę, że ostateczna wersja *status quo* zostanie osiągnięta dopiero wtedy, kiedy Izrael stanie się państwem Tory. – W Izraelu nie ma miejsca na teokrację – powiadają niektórzy rabini. – My zbudujemy inny system: torakrację.

[...]

Narracje

Nowe rebustwa

Wielkie znane rebustwa: Gur, Belz i Lubawicz, Wyżnic, Braclaw i Karlin oraz małe znane rebustwa: Biała, Kock i Modzyc, Bobow, Zanc i Slonim. Jest też wiele małych, dawniej świetnych, a dziś prawie zapomnianych grup: Amszinow, Aleksander, Dynów i Nadworna, Ożarów, Radzyń, Strykow i Sokolow, Sochaczew. Są małe sekty rumuńskie i węgierskie, takie z tradycją: Bohusz, Bojan, Różyn-Sadagóra i Kaliw, Spinka i Kreczner, Toldot Aharon i Satmer. I takie, które powstały niedawno i bardzo szybko przypisały sobie wielowiekowe dziedzictwo chasydyzmu: Szomrei Emunim, Erloj, Ungbar, Duszyński czy chasydztwo rebe Mojsze Rosenfeld z Darag, który do niedawna był instruktorem w jesziwie Belz. Są też stare-nowe rebustwa. Takie, które przestały istnieć i ożyły po kilkudziesięciu latach dzięki aktywności najczęściej samozwańczego rebege. Ostatnio pojawił się w Bnei Brak biznesmen z Brazylii, który wskrzesza sektę Wolbrom. Złośliwi powiadają, że choć już zbudował *beit midrasz*, nie ma jeszcze chasydów. Także w Bnei Brak bogaci chasydzi budują *sztibl* i *kojlel* dynastii radomskiej. Mają jednak kłopot, bo trudno im znaleźć odpowiedniego rebege. O mechanizmach powstawania nowych sekt opowiadał mi z pewną ironią izraelski historyk religijny zajmujący się chasydyzmem.

– Nowe rebustwa rosną jak grzyby po deszczu. To niezły biznes. Rebe ma prestiż, rebe ma swoich popleczników, rebe ma pieniądze. Bardzo prosto zakłada się nowy dwór. Wystarczy tylko znaleźć sponsora i dobrze brzmiącą, najlepiej polską nazwę miasteczka, w którym dawniej mieszkał jakiś rebe albo przynajmniej kilkudziesięciu chasydów. Takim fundatorem może być każdy. Najczęściej jest to bogaty niereligijny, którego dręczą jakieś głębokie wyrzuty sumienia. A to z powodu rodziny zamordowanej w obozie, która żyła po żydowsku, a to z sentymentu za starym, minionym światem, albo z jeszcze innej przyczyny. Wszyscy ci hojni darczyńcy łagodzą swoje wewnętrzne niepokoje wiele wartymi gestami. Nadto mają poczucie dokonania wielkiej rzeczy i są o tym nieustannie zapewniani przez wybranego rebege i jego otoczenie. Dla przykładu – dynastia radoszycka przestała istnieć wiele lat temu, nie żyje rebe, nie ocalał nikt z jego rodziny, wymarli ostatni chasydzi związani z dworem. Pozostała jedynie nazwa, która w nowych, sabrowskich warunkach brzmi bardzo dobrze. Radoszyce to znaczy: miejsce w starej Europie, czyli miejsce z tradycją. Pojawia się młody, energiczny *charedi*, *sabra* z rodziny węgierskiej, rumuńskiej czy nawet polskiej i postanawia „odbudować” sławną dynastię radoszycką, mianując się oczywiście jej rebe. Najpierw trzeba wyszukać bogatego sponsora, bo jak będą pieniądze, to znajdą się i chasydzi. Następny krok polega na przekonaniu biznesmena o doniosłości przedsięwzięcia i już można zamawiać papeterię z odpowiednim nagłówkiem: Mosdot Radoszyce, Synagoga Or Chaim, Jesziwa, Kojlel, Biblioteka, Gmilat Chesed, i tak dalej – zależnie od inwencji nowego rebege.

Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

W Toldot Aharon
chasydzi modlą się szczególnie pięknie

Słoneczna Chana

Jedna ze znajomych chasydek jerozolimskich opowiadała ciepło i serdecznie o Chanie, młodej matce jedenaściorga dzieci, najweselszej i najbardziej uczynnej kobiecie w Mea Szearim. Chana mieszka nieopodal ministerstwa edukacji, więc kilka razy dziennie wykonuje slalomy – z dużym, podwójnym wózkiem przedziera się między samochodami zaparkowanymi dosłownie wszędzie. Chodniki w Mea Szearim mają mniej więcej metr szerokości, ale najczęściej znikają pod kołami parkujących pojazdów. Chana nie narzeka na potworny hałas klaksonów i wrzeszczących urzędników, nie skarży się na pracę wokół dzieci i domu, której nigdy końca nie ma, nie utyskuje na stały brak pieniędzy, których starcza dosłownie na podstawowe rzeczy. Chana śmieje się ciągle i wszystkie jej dzieci są uśmiechnięte. Nawet ci dwaj najmniejsi w wózku wielkim jak karoca.

Z trudem wcisnęłam samochód między sto innych. Chana mieszka w starym budynku, jednym z kilku zamykających wewnętrzne podwórka. Galerie na wysokości każdego piętra trochę przypominają te z krakowskiego Kazimierza, tyle że w jerozolimskich kamiennych domach dają chyba, poza niezbędnym chłodem, więcej poczucia bezpieczeństwa niż drewniane ganki w dawnym świecie. Był upalny i suchy ranek. Chana – malutka, pulchna i najserdeczniej uśmiechnięta, w czarnej chustce ciasno przylegającej do gładkiej (bo ogolonej) głowy, czarnych półczochach, ciemnej bluzce starannie dopiętej pod szyją i w nadgarstkach. Opiera się dumnie na olbrzymim wózku, stojąc w półcieniu rachitycznego drzewka oliwnego. Wita mnie energicznym machaniem ręki, tak jakbyśmy spotykały się w tym samym miejscu każdego ranka od lat. Pospiesznie i trochę chaotycznie wyjaśnia, że będziemy rozmawiać, ale gdzie indziej, musimy pójść do Zajde, bo obiecała, musi posiedzieć przy jej chorej teściowej, przez jakieś dwie-trzy godziny; myślała, że dla mnie to nie ma znaczenia; czy miałam kłopoty ze znalezieniem miejsca?

Chana znosi wózek-olbrzym pod jedną pachą, wcale nie chce mojej pomocy. I już zaczynamy pędzić po kocich łbach Mea Szearim w kierunku Szpitala Włoskiego. Dużo i szybko opowiada o sobie, pyta o mnie, czasem krzyknie do przechodzącej kobiety:

– Co dobrego? A jak Rajzel, kiedy rodzi?

Czasem odpowie innej:

– Chwalić pana Boga, wszystko u nas w najlepszym porządku.

Wreszcie dobiegamy, trochę zasapane, do domu Zajde. Chłód ciemnego przedzienia – krótkie wychnienie – i już jesteśmy w długim korytarzu wysokiego i chyba dużego mieszkania. Zajde ma piękne czarne oczy, głowę starannie przykrytą bia-

Narracje

łym grubym koronkowym szalem, obficie marszczoną beżową spódnicę i luźny, jasny sweter. Jest wysoka, dostojna i naprawdę piękna. Biała, imponująca Zajde i czarna, urocza Chana. Są przyjaciółkami od lat. Chana często zagląda do staruszki, teściowej Zajde, by ją nakarmić strzykawką do rurki albo żeby pomasować jej ciało leżące od lat bez ruchu, zmienić pościel, czasem nawet żeby trochę posprzątało w mieszkaniu, bo Zajde jest bardzo zajęta, nie ma co prawda dzieci, ale lekcje w szkole prowadzi czasem do wieczora.

Chana miała kilkanaście lat, kiedy jej rodzina imigrowała z Ameryki do Izraela, a tu, jak mówi, każdego dnia stajesz się coraz bardziej religijnym.

– Ojciec zaczął modlić się w szulu Pitzburger rebe. Moje serce ciągle mnie zachęcało, by być jeszcze bardziej i jeszcze bardziej pobożną. Więc kiedy przeszedł czas na zamążpójście, moja dusza chciała takiego męża, który mi w tym pomoże, który będzie myślał i czuł podobnie. I dlatego wszyscy szukali dla mnie chłopca z Toldot Aharon. Mój mąż urodził się w Jerozolimie. Matka jego pochodzi z Rumunii, przeżyła wojnę w obozach. A ojciec męża jest z Polski, z *rebisz hojlf*, gdzieś w okolicach Lublina. Był chasydem Wyznicer rebe. (Nagle rozumiem, że „*rebisz hojlf*” to nie geograficzna nazwa miejsca w żydowskim, a po prostu dwór rebeego). Ojciec męża przeżył wojnę na Syberii. Przyjechał do Palestyny przez Wiedeń, tu studiował w jesziwie Duszynskiego, a potem przeszedł do Toldot Aharon.

Na ulicach Mea Szearim łatwo wyróżnić chasydów Toldot Aharon. Noszą pasiaste kapoty przez cały tydzień. (Choć w sobotę można ich pomylić z *jeruszalmim*, dla których jest to strój odświętny). Mają też charakterystyczne kipy – białe, dziergane z bawełny, z takim krótkim ogonkiem. W sobotę mężczyźni noszą białe skarpety i krótsze spodnie – gdyby nie pasiasty kaftan i biała kipa, można by pomyśleć, że to chasydzi Belz.

– Nasze życie to życie w Torze, wszystko inne nie ma żadnego znaczenia, żadnego sensu. Oczywiście, trzeba dawać sobie radę z codziennością. My też musimy pracować, gotować, sprzątać, bawić dzieci i tak dalej. Ale to wszystko ma służyć duszom, które każdego dnia powinny być bogatsze i bliższe celu. Nasi mężczyźni są w lepszej sytuacji, zawsze są bliżej Imienia niż my, kobiety. Oni przede wszystkim modlą się, studiują, a jeśli nawet pracują, to zajmują się dobroczynnością, handlują tałesami, sprzedają święte księgi, pomagają w szulu, u rebeego. My możemy rozmawiać z Panem, piorać i gotując. I ja tak robię, ciągle do Niego mówię. Proszę Go o opiekę nad całą dużą rodziną, o siły dla mężczyzn, by mogli studiować Tore. Czasem mam szczególne prośby, kiedy dziecko jest chore albo, kiedy matka nie domaga. Mam nadzieję, że Pan wysłucha mojej modlitwy, by wszystkie dzieci wybrały drogę Toldot Aharon, bo ta jest najlepsza, najkrótsza do Niego. Trzy razy dziennie odmawiam modlitwy z Książki. A te szczególne, osobiste, niezapisane w modlitewniku, mówię w jidysz. Dziś rano tak mnie coś gnało, by pomodlić się z innymi, więc pobiegłam, póki dzieci jeszcze spały, tuż po piątej, na pierwszy *minjan*. W szulu Toldot Aharon galeria kobieca jest otwarta tylko w *szabes*. Więc

Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

biegam do takiego *sztiblech*, do którego różni chasydzi przychodzą, tam jest zawsze *minjan* od 5.30 do ostatnich modlitw wieczornych, które kończą się około północy.

– W Toldot Aharon szczególnie pięknie modlą się chasydzi – opowiada dalej promienna Chana. – Reb Arele zbudował specjalny porządek modlitwy i chasydzi chwalą Imię z całą swoją siłą, energią i pasją, tą duchową przede wszystkim. Ale też i kołysanie ciałem, *szokling*, jest bardzo silne: wszystkie kości, mięśnie, cały człowiek jest w zapomnieniu. Codzienne modlitwy Toldot Aharon trwają prawie dwie godziny, podczas gdy inni załatwiają to w czterdzieści minut. W *szabes* chasydzi rebeego Arele kołyszają się w ekstazie przez cztery godziny, ale nie krzyczą i nie robią fikołków, *kules*, czy *sztifensich* jak karlinianie. Rebe zawsze przestrzegał przed wariowaniem w szulu – podkreśla Chana.

Alter rebe Toldot Aharon miał w 1994 roku wylew krwi do mózgu i od tamtej pory jest mniej aktywny w grupie. Jego chasydzi są przekonani, że widzi, wie i rozumie wszystko, choć komunikuje się z nimi tylko wzrokiem. Przychodzą do niego jak dawniej, opowiadają o swoich utrapieniach, proszą o rady, błogosławieństwo. Rebe czasem mocno uściśnie dłoń albo zmruży oczy, jakby się uśmiechał, kiedy indziej ruszy głową w znaczący sposób. Potem pytający rozważa znaczenie gestu rebeego, radzi się innych, w końcu odczytuje jego odpowiedź i zawsze przyjmuje ją z bezgraniczną ufnością. Od czasu do czasu uczniowie przywożą rebeego na *tisz* do szulu, ale sadzają w wielkim fotelu ukrytym za szybą chroniącą przed oczyma chasydów.

– Kto będzie następnym rebe? – pytam Chanę.

– Rebe dożyje nadejścia Mesjasza! A poza tym ja nie muszę się nad tym zastanawiać. Inni już zaczęli się spierać, bo rebe ma kilku synów. Kiedy stracił siły, niektórzy chasydzi Toldot Aharon odeszli do braclawian. Będzie duży kłopot i bardzo szkoda, bo Toldot Aharon to piękne chasydztwo.

[...]

Ostatnie polskie dwory chasydzkie

Ger czyli Góra Kalwaria

Kilka razy dziennie z Dworca Południowego w Warszawie odjeżdżała kolejka wąskotorowa do Góry Kalwarii. Szczególni podróżni machali na pożegnanie kobietom w długich sukniach i szalach na głowie. Po peronie biegali mali chłopcy z długimi pejsami, a w sukniach matek chowały się dziewczynki z warkoczycami. Chasydzi jechali do swego rebe, chasydzi spieszyli do swego cadyka. Przez osiemdziesiąt lat istniał dwór w Ger, Górze Kalwarii. Rabi Icchak Meir Alter, znany jako Chiduszej haRim, I Gerer rebe, zmienił swoje rodowe nazwisko Rotenberg

Narracje

na Alter i przeniósł się z Warszawy do Góry Kalwarii. Tak do końca nie wiadomo, jaka była przyczyna przeprowadzki. Jedni pamiętają, że rabi sprzeciwiał się zakazowi noszenia brody, pejsów i stroju chasydzkiego wydanemu przez władze carskie w 1851 roku i dlatego musiał się ukrywać przed Rosjanami. Inni powiadają, że rabi nie płacił podatków i groziły mu sądy. Są i tacy, którzy mówią, że rabi popierał powstanie listopadowe i po jego upadku musiał uchodzić przed represjami. Rebe Icie Meir, przeżywszy trzynastoro swoich dzieci, wyznaczył na następcę wnuka, Jehudę Lejba. Dwór w Ger prowadził także III rebe dynastii, Abraham Mordechaj Alter, czyli Imrei Emet. Do 6 września 1939 roku.

Góra Kalwaria, 33 km na południe od Warszawy, lato 1996 roku. To tutaj Gerer rebe miał swój wspaniały dwór chasydzki. Miał też olbrzymi *bejs medresz*, w którym modlono się i ucztowano w święta. Chasydzi zjeżdżali z calusieńkiej Polski. Obok jednopiętrowy budynek mieszczący gigantyczną bibliotekę: tysiące woluminów i wiele niepublikowanych manuskryptów – tu rebe przyjmował chasydów z ich prośbami i smutkami. I jeszcze kilka luksusowych, jak na owe czasy, rezydencji rebeego i jego dzieci. Dom rebeego jako jedyny w miasteczku miał bieżącą wodę, elektryczność i telefon. Do dzisiaj pamiętają o tym starzy mieszkańcy. Ściany zdobione najpiękniejszymi kilimami, na podłogach puszyste dywany, pokoje wyposażone w najdroższe meble, a w piwnicach setki butelek starego wina. Powiadają, że trzy dni Niemcy wywozili skrzynie z Góry Kalwarii.

– Na Pijarskiej, za zieloną bramą, łatwo pani znajdzie, taki stary dom w podwórzu – objaśniają nam drogę mieszkańcy.

Duże bardzo podwórko. Przed domem stoi stary autobus PKS, obok przyczepa ciągnikowa. Pies wściekle ujada w budzie. Pusto wszędzie, chodzimy wokół domu, zaglądamy w okna. Dół części domu jakby odnowiony w środku. Nagle wyrasta przed nami obywatel miejscowy, taki trochę bardziej elegancki, w białych skarpetkach i z saszetką na palcu.

– A wy czego tu?

Nie jesteśmy pewni, co to zdanie oznacza. Czy to atak na obcego, czy obrona przed swoim? Rzykujemy ostrą odpowiedź.

– Przyjechaliśmy z Izraela i chcielibyśmy obejrzeć dom cadyka.

Dzentelmen nie dowierza. Bacznie się nam przygląda.

– Z Izraela?

– Tak.

– Sami, bez grupy?

– Tak.

– To wy jesteście Żydzi?

Okazuje się, że nie tylko w Izraelu wymagane jest jednoznaczne określenie narodowej tożsamości. Nie możemy sytuacji komplikować, bo obywatel nigdy nie wyciągnie kluczy ze swojej plastikowej saszetki.

– Tak. Chcielibyśmy zobaczyć dom i *beis medresz*.

Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

– No, dobra, dobra. Tylko szybko. Bo mi nie wolno otwierać byle komu.

„Nie będziemy się obrażać”, pomyślałam. Wchodzimy do dużej, pustej sali ze świeżo wykafelkowaną podłogą. Ściany pomalowane na brudnobiało, łazienkowe kafelki wokół i cisza potworna. Nagle zauważam wąskie, drewniane schody. Prowadzą gdzieś na górę.

– Pani, tam nic nie ma, nie odnowili jeszcze, tylko ten stary piec – słyszę z dołu. Pachnie wilgotnym drewnem, kurzem i czasem. Na ścianach pająki przechadzają się po swoich linach. Prawdziwy piec macowy. Ten sam, w którym pewnie jeszcze w roku 1939 rebe wypiekał macę na Pesach. W piecu kilka zwęglonych drewniaków. Nikt tu nie zdążył posprzątać. Ciągle pachnie przeszłością i łatwiej wywołać duchy z wyobraźni.

– Oni to najbardziej przy tym piecu się kiwają – słyszę głos naszego przewodnika.

Wychodzimy przed dom, wysłuchując miejscowego serwisu informacyjnego, bo na podwórku jest już kilku „specjalistów” od tematu. Jeden opowiada o cadyku, za którego Żydzi dali Niemcom tyle kilogramów złota, ile cadyk ważył. Inny, trochę mu trudno zachować pion, mówi, że wie, czego Żydzi tu szukają: tego czwartego złotego koła od karocy, co to je cadyk zgubił, szukają. I jakaś kobiecina, pewnie nie słyszała, że my z Izraela, skarży się na „tych Żydów, bo jak przyjeżdżają, to cała ulica zablokowana, samochody nie mogą jeździć, dookoła pełno policji i jakichś obcych z rurkami w uszach”.

– Panoszą się wszędzie i patrzą na nas z góry, i tak wrogo, jakby my im co złego zrobili.

Dżentelmen w białych skarpetach ucisza kobiecinę.

– A daj pani spokój, pani Kiweczkowa, co to tych państwa obchodzi?!

Do Góry Kalwarii wracałam kilkakrotnie. W poszukiwaniu tego samego, czego szukają wypatrywacze przeszłości: detalu, może zapachu, który wyprodukuje wyobraźnia, szczegółu, który potwierdzi, że stary świat jest wyobrażalny, że go trochę przechowaliśmy w sobie. Idę nie prowadzona niczym konkretnym. Od głównej ulicy bramą w kolejne podwórko. Stoję przed brązowo-szerniałym drewniakiem. Jest lato, drzwi uchylone, znowu pukam. Jestem zaproszona miłym gestem do środka. Tak, jakby gospodyni rozumiała, dlaczego przyszedłam.

– Babcia Pokorska w Wierzbnie przechowywała Heńka Prajsa. A Heniek tu, u Żydka, krawiectwa się uczył.

Patrzę na półtorej izby, wąski, krótki i powyginany korytarzyk, schodki prowadzące w górę, małe jak te plastikowe na placu zabaw. Ciasnota ogromna – dookoła wszędzie ciuchów pełno, szmat najróżniejszych (jakby po tamtym krawcu, co Heńka uczył), sprzętów co niemiara, gdzieś spod nich wystają kawałki połyskującej meblóścianki.

– On tu mieszka, żyje, bo go babcia Pokorska uratowała – wnuczka babci Pokorskiej jest gościnnie, rozmowna.

Stare podwórko zamyka nowa, ciężka, żelazna brama. Jest źle zamontowana i trzaska z wielkim hałasem.

Narracje

Kolejne koło nieprzypadku się domknęło. Kilka lat wcześniej pan Prajs opowiadał:

– Najdłużej mieszkałem we wsi Podwierzbie koło Żelechowa, u pani Pokorskiej. Tam mieszkali bardzo przyzwoici ludzie: Pyzowie, Pylowie, Polakowie, Marciniakowie. Nawet wójt mnie chronił. Raz poszedłem na zabawę, ale potem powiedziałem sobie, że więcej na zabawę nie pójdę, bo się boję. Raz poszedłem do kościoła, ale też potem bałem się, że ktoś pozna. Ale nie wydali, to szczęście od Boga po prostu. Jednego dnia przyszli do pani Pokorskiej Niemcy. I ona mówi, że jestem jej synem. Niemiec pytał się dziesięć razy. Ja mówię: mama, a ona mówi: syn. Ja akurat metrykę urodzenia miałem jej syna – Stanisław Pokorski. I Niemiec nawet nie patrzył na dowód. Tak jakoś się udało. A przecież mógł powiedzieć – Spuszczaj spodnie! No i co? I już cały dom jest spalony, wszystkie dzieci i ta mama. Ona była bardzo dobra. Ta pani Pokorska. Po wojnie byłem u księdza, dałem na mszę dziękczynną dla całej wioski”. A ten Żyd, u którego Heniek Prajs terminował, nazywał się Izrael Cybula i miał córkę i trzech synów: Ruchel, Moszek, Iciek i Fajga. Wszystkich wysiedlili do getta warszawskiego w 1941. Nikt z rodziny krawca nie wrócił do Góry Kalwarii po wojnie. Pewnie zginęli w Treblince.

[...]

Marginesy

W przyszłym roku będę wiedziała więcej

– Jeszcze kilka lat i będziemy mieli swoje uniwersytety! Unikniemy wtedy niebezpieczeństwa wchodzenia w struktury świeckie – mówiła do mnie w 1996 roku Szoszana, pracowniczka socjalna z Bnei Brak. (O tym spotkaniu opowiedziałam w rozdziale *Najtrudniej jest spotkać Lilit*).

Educated and Ignorant. Ultraorthodox Jewish Women and Their World – tak swoją książkę w 1994 zatytułowała uniwersytecka antropolożka, Tamar El-Or. W 2002 wydała kolejną pracę, w której rozważa zmiany zachodzące w sferze edukacji kobiet religijnych. I ta praca nosi tytuł *Next Year I Will Know More*. Zestawienie obu tytułów znacząco wskazuje zmianę, która zaszła, i która dalej się dzieje w świecie kobiet szeroko rozumianej ortodoksji.

– To jest wielki ruch! To, co się dzieje, to naprawdę rewolucja! – opowiada z entuzjazmem Tamar El-Or, którą spotkałam w małej knajpce w północnej dzielnicy Tel Awiwu. – Kobiety ortodoksyjne studiują Gemarę, studiują teksty kanoniczne. Uczą się wszędzie: i w miastach, i w nowych osiedlach, zakładają szkoły, robią kursy, seminaria, zjazdy, spotkania. Jest cały system szkół zwanych *midraszot* – w trzydziestu pięciu *midraszot* w Kraju dziewczyny z domów ortodoksyjno-syjonistycznych uczą się Gemary! Wyobrażasz to sobie?! Czy wiesz, że powstało już kilka jesziw dla dziewcząt?! Można powiedzieć, że oczekiwania kobiet zaczynają się spełniać. One nie muszą rezygnować ze swojej ortodoksji, a mogą – obok przedmiotów

Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

świeckich – studiować prawo żydowskie, filozofię, mogą studiować te same księgi, które przez wieki były dostępne tylko ich mężczyznom. Te kobiety to nowe feministki żydowskie. One już wkrótce zaczną odgrywać ważne role w swoich społecznościach i w całym izraelskim społeczeństwie.

– Jakoś „po amerykańsku” mi to brzmi – mówię.

– No, tak, bo to wszystko przyszło z Ameryki. Tam ten ruch edukacji dla wiedzy i siły społecznej kobiet zaczął się w połowie lat siedemdziesiątych. Do Izraela dotarł jakoś nieśmiało na początku lat dziewięćdziesiątych, no a teraz już się tak rozhuśtał, że można mówić o wielkim zjawisku społecznym.

– Jak te kobiety siebie nazywają? Feministki ortodoksyjne? – pytam.

– One mają swoje stowarzyszenie, które się nazywa JOFA – Jewish Orthodox Feminist Alliance. Ale mówią o sobie: *ortodoksi* – ortodoksyjna, *datija* – religijna, *cijonit datit* – syjonistka religijna. Są też nazwy dla tego ruchu: „rewolucja *midraszot*” albo: *kolech*, bo te kobiety wydają pismo o takim tytule.

– Rozumiem, że w tym łańcuszku stopniowania ortodoksji religijnej: *charedi*, *ortodoksi*, *konserwatywi*, *progresywi*, *masorti* – tradycyjni i *reformi* – nasze bohaterki mieszczą się w kategorii drugiej: *ortodoksi*. A jak im blisko do chasydzkich kobiet z Mea Szearim albo żon litwaków z Bnei Brak?

– Ciągle im blisko nie jest. Albo może inaczej: to tym kobietom z Mea Szearim i Bnei Brak jest bardzo daleko do wykształconych *ortodoksijot*. One są awangardą tutaj i to często ostro zwalczaną przez wielu rabinów. Z jednej strony odwołują się do konserwatywnego i postępowego judaizmu, a z drugiej strony próbują wchodzić do świata *charedijot*. I są tam potrzebne – jako znawczynie prawa halachicznego, jako terapeutki, jako opiekunki społeczne. Na pewno dla *charedim* są bardziej koszerne niż świeckie profesjonalistki. Słyszałam, że najbardziej otwarci dla tych kobiet są chabadnicy, chasydzi Lubawicz. Chabad był zawsze bardziej wykształcony i otwarty niż inne dwory. A dziś jest potężny – bo liczebny i bogaty. Więc może to jest dobra droga do świata zamkniętego?

– Wiesz lepiej ode mnie, że zaledwie kilka szkół *charedim*, zdaje się, że nie więcej niż trzy, cztery w całym kraju, prowadzi egzaminy maturalne uznawane przez izraelskie Ministerstwo Edukacji i Kultury.

– No, tak. Tak ciągle jest. Ale żony chasydów Gur, Belz, a czasem i tych małych dynastii –

niektóre kobiety (!) są zainteresowane większym otwarciem. Chcą lepszej pracy, a do tego potrzebna jest lepsza edukacja. A lepsza edukacja dla kobiet religijnych niemożliwa jest bez studiowania judaizmu. Słyszałam, że w Kirjat Ono jest pierwsza szkoła prawnicza dla *charediojot*! Jeśli następną rozmowę na ten temat przeprowadzimy za kolejne dziesięć lat – takich szkół na pewno będzie dużo więcej. I pewnie Tami ma rację.

W kilka miesięcy po mojej rozmowie z Tami o szkole prawniczej dla ultraortodoksyjnych kobiet w Kirjat Ono zrobiło się w Izraelu głośno. Nowe zjawisko nazywane różnie: żydowskim feminizmem, rewolucją w judaizmie – nie jest tylko me-

Narracje

dialną kulą. Kobiety najmłodsze i starsze, matki pracujące zawodowo, utrzymujące dom i męża studiującego w kojlelu – około stu kobiet studiuje raz w tygodniu prawo w Kirjat Ono. Szkoła została otworzona w 2006 roku. Podobnych szkół – dla *charedijot*, które chcą lepszych zawodów, które chcą lepszej płacy za swoją pracę – jest coraz więcej. Oprócz prawa kobiety studiują opiekę społeczną (ale nie socjologię), doradztwo w edukacji (ale nie psychologię), grafikę komputerową, angielski, księgowość, projektowanie wnętrz, medycynę alternatywną i... ekologię. Odważny pomysł edukowania kobiet wyszedł ze świata sefardyjek, żon i córek działaczy partii Szas. (Założycielką Charedi College jest Adina Bar-Shalom, córka przywódcy Szas, rabiego Owadii Josefa). – Dlaczego tak? – Może dlatego, że litwacy i chasydzi są jeszcze bardziej ultra w swojej ortodoksji, a może i dlatego, że są trochę zamożniejsi od sefardyczyków – odpowiada izraelska socjolożka. – To studiowanie nie wynika z fanaberii, ono jest koniecznością, jeśli ta społeczność ma żyć choć trochę mniej biednie.

[...]

Nowy podział

Chcąc nazwać i uporządkować różnorodność religijną w Izraelu i naturalnie stosując tu pewien stopień uproszczenia, można zaproponować taki zapis: ultra-ortodoksi, ortodoksi, konserwatywni, tradycyjni, postępowi, niereligijni. Uproszczenie to dotyczy haseł i treści, które je wypełniają, ponieważ istnieją społeczności – mniejsze i większe – które pozycjonują się gdzieś na granicy, mieszczą się w obu marginesach sąsiadujących w naszym zapisie grup; które to marginesy wzajemnie się przecinają.

W ostatnich kilkunastu latach obserwujemy wyodrębnianie się nowych społeczności, które jeszcze do niedawna były na tyle nieufornowane, na tyle wewnętrznie różne, indywidualne, pojedyncze, że pozostawały ukryte w tych wyżej wspomnianych marginesach czy przestrzeniach pomiędzy kategoriami wyróżnionymi. Spróbujmy je ponazywać.

Kabalot szabat chilonim. Ludzie niereligijni, z różnych powodów tęskniący? potrzebujący? obrzędu? tradycji? Spotykają się w piątek po południu, często w kawiarniach, czasem już (to krok dalej) w specjalnie wynajętej sali i wspólnie witają święto soboty. Ci ludzie najczęściej są młodzi (między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia), wychowani i wykształceni w całkowicie świeckim – taki, który nazywa się nowoczesnym – sposób. Większość z nich jest dobrze wykształcona. W skrócie: telawiwscy *yuppies*, do niedawna bohema z ulicy Szenkin. (Zresztą, nie przez przypadek *kabalot szabat* odbywają się także na Szenkin). Z czasem niektórzy z nich staną się *chilonim masortiim*, czyli świeckimi tradycjonalistami. To ci, którzy nie chodzą do synagogi, nie przestrzegają *micwot*, ale lubią obrzę-

Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

dowość; celebrują bar micwę i najważniejsze daty w religijnym kalendarzu żydowskim (ten religijny kalendarz dla nich jest raczej kulturowym kalendarzem). Będą je świętować z przyjaciółmi, rzadziej z rodziną.

N o w i r e l i g i j n i. Po hebrajsku mówi się o nich *datiim chadaszim*. Są podobni do tych niereligijnych z Szenkin, pochodzą z takich samych niereligijnych, wykształconych, średnio zamożnych domów. Ale mówią o sobie, że są religijni. A ponieważ religijni są od niedawna (też w sensie pokoleniowym), to nie znajdują swojego miejsca w żadnej z „kręgosłupowych” grup przedstawionego tu podziału. Poszukują własnego miejsca, formułują swoją odrębność. I skoro jest ich coraz więcej, zaczynają opuszczać przestrzeń marginesu i wreszcie ujawniają się jako osobna grupa. Poszukują też miejsca dla swojej nowej religijnej potrzeby – dla modlitwy. (Oni nie potrzebują jeszcze wspólnoty dla realizowania swojego judaizmu). I często znajdują małe, zapomniane synagogi prowadzone przez rabina ortodoksyjnego, a czasem domy modlitwy należące do rebege, który nie ma już swoich chasydów. Nowi religijni lubią też odwiedzać synagogi Jemeńczyków i Etiopczyków.

D a w n i r e l i g i j n i. *Datiim leszeawar*. Mówi się o nich też krótko: *datlasz*. (To akronim od hebrajskich liter). Dawid Assaf mówi:

– Ja jestem *datlasz*. Pochodzę z rodziny ortodoksyjnej. Moja matka pochodzi z rodziny chasydzkiej. Ojciec z litwackiej. Oboje przyjechali z Polski do Palestyny w latach trzydziestych razem z kibucem religijnym. I nasz dom tutaj też był religijny, ale w taki nowoczesny sposób. Rodzice oboje byli nieźle wykształceni, otwarci na świat, ale oni zdecydowanie przestrzegali Prawa (*szomrei tora umicwot*). I tak mnie wychowywali. A ja odszedłem. Zmieniłem nazwisko z galutowego na hebrajskie i przez długi czas byłem antyreligijny. Dziś jestem *chiloni masorti* (świecki tradycjonalista).

N o s z r i m. Zachowuję hebrajską nazwę, bo tłumaczenie wydaje mi się nieodpowiednie: *linszor* oznacza odpaść. *Noszrim* to chłopcy lub dziewczęta z domów ultraortodoksyjnych, którzy zaczynają się źle prowadzić. Dziewczynki zakładają obcasiki, malują paznokcie, może odpinają dwa guziki bluzki. Chłopcy skrcają pejsy albo wręcz chowają je pod czapką i idą (jadą) spacerować w nocy po centrum Tel Awiwu. Ta młodzież jest wysyłana do specjalnych szkół, w których wzmacnia się ich kręgosłup moralny. Część z nich wraca do społeczności *charedim*, a (mniejsza) część odchodzi do świata świeckiego.

T r a n s c h a r e d i m. To ludzie żyjący poniekąd w dwóch światach. Nie mogąc jednoznacznie opuścić życia w ultraortodoksji, wychodzą z niego choć na chwilę. Jedni zabierają podkoszulki i dzinsy i przebiegają się na plaży albo w toalecie; inni w swoim stroju chasyda czy mitnageda jadą gdzieś daleko od domu. Jedni i dru-

Narracje

dzy próbują tego zabronionego im sposobu życia – siedzą w kawiarniach, tańczą w nocnych klubach, zadają się z dziewczynami, uprawiają sport, wyjeżdżają za granicę.

Ł a g o d n y *charedi*. (*Charedi light*). Zachowują nazwę angielsko-hebrajską, bo taka funkcjonuje. Podobny sposób bycia do *transcharedi*, ale inny punkt wyjścia. *Charedi light* nic nie zakłamuje, nie żyje w dwóch skórach. Jest po prostu trochę *charedi*. Mieszka gdzieś na granicy Bnei Brak i Ramat Gan albo u wylotu Giwat Szaul i sam komponuje zestaw swoich atrybutów z jednego i drugiego świata. Z grubsza przestrzega Prawa, a w którym miejscu „z grubsza” – decyduje on sam. I ta kategoria często obejmuje całe rodziny. To są ludzie, którzy mówią: „Moja religia to moja prywatna rzecz. Dotyczy mnie i mojej rodziny. Chcę żyć jak obywatel tego kraju i korzystać z moich obywatelskich uprawnień i przywilejów”.

Dziś mobilność jest większa: wewnątrz i na zewnątrz świata ortodoksyjnego. Dawniej trudniej było wrócić do religii, czy raczej do społeczności religijnej, i trudniej było z niej odejść. Dziś decyzje są i szybsze, i łatwiejsze. Na pewno kwestia jakiegoś zbliżenia obu światów (ortodoksyjnego i świeckiego), o którym mówiło mi wielu rozmówców, ma wielkie znaczenie. Kiedy Chawa opuszczała swój dom dwadzieścia lat temu, była zupełnie sama. Dziś organizacje wspierających tych,



Grupińska Najtrudniej jest spotkać Lilit

którzy zaczynają zmierzać w kierunku świata świeckiego, jest w Izraelu kilka. Jedna z najbardziej znanych to Hillel.

– My nie zachęcamy ludzi do opuszczania ich społeczności. My pomagamy tym, którzy tę decyzję podjęli. Gdybyśmy tego nie robili, wielu z nich wylądowałoby na ulicy – mówi jedna z działaczek organizacji.

A zatem w szeroko rozumianym świecie ortodoksji mamy do czynienia z jednej strony z radykalizacją życia ortodoksyjnego, a z drugiej – z potrzebą indywidualizacji życia i kontestowania zasad formułowanych przez rabinów. Wielość podziału i różnorodność odcieni czyni świat ortodoksji niezwykle ciekawym. Do niedawna – zupełnie nieopisywanym. Wydaje się, że akademicy i dziennikarze zaczęli się tej społeczności w ostatnich latach uważniej przyglądać. Powstają prace naukowe opisujące i systematyzujące dawne i nowe zjawiska.

Abstract

Anka GRUPIŃSKA
Unaffiliated researcher

Meeting Lilith is the Most Difficult Thing. The Tales of Chassidim Women

Fragments prepared for a new edition of Anka Grupińska's book *Najtrudniej jest spotkać Lilit. Opowieści chasydek* [English rendering: as above], forthcoming this year from Austeria publishers.